

ŚNÓWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok V numer 44

Niedziela, 21 XI 1954

Notatki z Kórnika

CZESŁAW MICHNIAK

Dwie rozmowy — dwa portrety

Rozpocznę od krótkiej historii, opowiedzianej mi przez jednego ze znajomych w samochodzie PKS Poznań—Poniec. „Wczoraj, chcąc dopełnić formalności meldunkowych” — mówił on — „udałem się do biura meldunkowego, a tam... Przecierałem oczy. Pokój pięknie odmalowany, udekorowany barwami narodowymi. Papieroplastyka... Jeszcze raz przecierałem oczy i wychodzę na ulicę. Ach, rzeczywiście, nie zauważyłem, że na drzwiach wisi białoczerwona tabliczka „Miejski Komitet Frontu Narodowego”. — „Biuro meldunkowe jest obok” — objaśnił, mnie napotkany uczeń. — „Ścieśniliśmy się trochę” — powiedział kierownik biblioteki miejskiej — „przyjeżdżamy na sublokator biura meldunkowego, dzięki czemu Front Narodowy otrzymał piękny lokal. Prawda, że piękny?” — mówił mój znajomy. Piękny, musiałem przyznać. Dodajmy dzięki urzędnikom z GS-u, którzy po godzinach pracy sprzątali, szorowali, malowali... Przewodnicząca komitetu Buchwaldówna wycinała literę.

Ale oto ona. Wzając każde słowo wtajemnicza mnie w dobre i złe sprawy Kórnika. Dobre (czytaj osiągnięcia) to nowa szkoła podstawowa, liceum ogólnokształcące, piekarnia mechaniczna, Zakład Dendrologii i Pomologii PAN. Złe — to bolączki. Stara piosenka mieszkaniowa i autobus. Kórnik leży w odległości 4 kilometrów od dworca kolejowego, nie posiadającego żadnego połączenia z miastem. Jedyne środki lokomocji, jak wyraża się żartobliwie kolega z GS-u, dyżurujący w lokalu Komitetu, to „auto-nogi”.

Otóż właśnie casus autobus poruszano na przedwyborczym zebraniu obywateli, zwołanym przez Komitet.

Brzęczy telefon. „Proszę was” — mówi dyżurny. Buchwaldówna, wiceprezes GS-u, przenosi się na kilka minut do świata smalcu, nici i mydła. Zaopatrzenie, zagadnienie pierwszorzędnej wagi. Jest przewodniczącą Komitetu Frontu Narodowego od niedawna. Na zapytanie: „Jak pracowali waszym zdaniem poprzednicy”, odpowiada: „Owszem, pracowali. Organizowali odczyty”. Wyczuwam jednak, że kurtuazyjnie unika ona krytyki.

„Organizowali” — dorzuca śmiało kolega z GS-u — „jak ze śreńmu przyszedł monit...”. „Mieli trudności lokalowe” — zauważa pojednawczo przewodnicząca. „Teraz łatwiejsze warunki pracy, zresztą nasza była w tym wina, bo nie pomagaliśmy. Wasza też kolego...”.

Za chwilę idziemy na zebranie do Bnina. Z prawej strony jaśnieje tafla jeziora, z lewej szumi park. Asfaltowa szosa skropiona ciepłym deszczem lśni w blasku księżyca. Siała a właściwie jedna z klaszki podstawowej w Bninie jest pełna. Głowa przy głowie. Przewodniczący kończy przemówienie. Zrywają się oklaski. „Może wysuną waszą kandydaturę?”

„Ja już kandyduję do PRN w Śreńnie” — odpowiada. Ta dwudziestokilkuletnia dziewczyna z godnością piastuje swoje urzędy: jest także członkiem władz gminnej spółdzielni i przewodniczącą organizacji ZMPowskiej w swoim zakładzie pracy. Nie pytałem jej o życie osobiste, chciałbym jednak zobaczyć jak Buchwaldówna w gronie swych koleżanek i kolegów bawi się na ZMPowskim wieczorku tanecznym. Jest zbyt poważna. Chciałbym więc usłyszeć jak się beztrudnie bawi...

Będąc w Zakładzie Dendrologii i Pomologii PAN w celu złożenia wizyty dr. Wiluszowi i nie zastawszy go wynagrodziłem sobie ten zawód pogawędką z Miroslawem Tomaszewskim, starszym asystentem w laboratorium biochemicznym. Budynek pracowni jest położony w parku zasłanym liśćmi, zieleniący się mimo późnej jesieni murawą kłombów.

Szczupła postać asystenta gineologa jakgdyby w masie urzędujących laboratoryjnych, probówek i porcelanowych słoików, przesiąkniętych trochę aptecznym zapachem odczynników.

Blondyn, w manczestrowej wiatrówce, wyglądał bardzo młodziśczo, wyobrażałem go sobie jako starszego pana z bródką. Wprowadził mnie w zagadnienie, wyjaśniając: „Dendrologia jest nauką o roślinach drzewiastych”, czego szczerze mówiąc nie wiedziałem — po czym zdał relację ze swej pracy naukowej. Na temat dendrologii i pomologii mógłby mówić całe popołudnie, noc...

Chwalił się niezwykłością parku, czuł się niemal jego właścicielem. 5 tysięcy odmian to nie żarty. Na przykład prehistoryczna roślina metasekwoja z okresu węglowego. Dziś jest niewysokim krzaczkiem — w tedy sięgała wysokości 150 metrów.

Potem przeszliśmy na tematy osobiste. Napomknął o wyjeździe za kilka miesięcy na półroczne studia do Berlina. Pogłębienie wiedzy dla młodego zdolnego człowieka, to piękna perspektywa.

„Nudno, tu trochę, nie?” — sprowokowałem go do wynurzeń na temat niedosytu kulturalnego na tzw. prowincji. Przyznał, że trochę nudno, chociaż tragedii z braku opery czy teatru w Kórniku nie warto robić. Przy tej okazji znowu wypłynęła sprawa komunikacji miasto-dworzec. Wyjazd do Poznania autobusem, dla dwóch osób znacznie podraża rozrywkę.

Na chwilę zamilkliśmy, jakby nie było już tematu do rozmowy. Wreszcie przerwałem ciszę zapytaniem: „A rada?”

„Pierwszy raz w życiu spotyka mnie taki zaszczyt, jestem kandydatem na radnego” — podjął trochę nieśmiało — „o-prócz pewnej działalności w związku pozostawałem dotychczas raczej na marginesie działalności społecznej” — rzekł szczerze. — „Trzeba się rozruszać”.

„Nie wiem, czy przed wejściem do parku” — odezwał się po krótkim namyśle — „zauważył pan tabliczkę z napisem: Zwiedzanie dozwolone w niedzielę i święta?”

Kiwnąłem głową. „Ludzie przychodzą tu, owszem, — kontynuował — „ale raczej dla odczynu. Daje się zauważyć niestety pewna obojętność naszego społeczeństwa dla tych pięknych i niezwykłych roślin, dla pasjonujących przemian zachodzących w ich życiu, dla nauki, dzięki której my to życie będziemy kształtować” — mówił z początku głosem zmartwionym, jakby ta obojętność zabolala go dotkliwie.

„Chodzi mi o to, żeby tu przychodzili ciekawi i niena-syceni wiedzy.” „O, widzi pan” — w oczach zapaliły się iskierki. — „na przykład ci” — pokazał ręką ulicę szła dwóch młodych ludzi. Wrócili w przybrudzonych komбинезonach od pracy w zakładzie ślusarskim.

„Wydaje walkę z niewiedzą” — rzekł ostro. — „trochę w tym było i naszej winy. Odsunęliśmy się od społeczeństwa...”

A potem snuł przede mną plany najbliższej ofensywy.

Dwadzieścia osiem lat później

Sysiak jest niski, szczupły, mówi i rusza się szybko. Zieliński o-powiadając, pochyla głowę i pomaga nieskładnym słowom szerokimi gestami długich rąk. Chodziliśmy ulicami Kalisza, było już ciemno i drobne kropelki deszczu drżały wokół ulicznych lamp.

Opowiadał Zieliński, Sysiak od czasu do czasu dorzucał kilka słów. Czasem myliły im się daty, ludzie, wydarzenia. Wówczas sprzeczał się i grzebał w pamięci, zaczynając od słów „pamiętasz, to było wtedy” lub „zaraz, zaraz, to było później, nad Prosną, tam gdzie teraz budoje się nowy most”. Potem obaj zwracali się do mnie i przerwana opowieść snuła się dalej niespokojnym rytmem.

✱

Ludzi zbierało się coraz więcej (*). Tysiące głów czarnym kołem otaczało białe mury budynku gdzie za szybą zjawiała się i szybko znikła wystraszona twarz magistrackiego urzędnika. Nie wszystkim starczyło przezorności, by na czas opuścić gmach. Oczy zebranych szukały wśród nich twarzy prezydenta miasta, Szarasa.

Najgorzej było przy drzwiach. Były zamknięte na wszystkie spusty. Co chwila łotały w nie twarde pięści robotników.

— Otwierać, panowie radni! — Dawać nam prezydenta, my z nim pogadamy!

— O sobie, o swoich fabrykach i sklepach panowie z rady umieją pamiętać, ale bezrobotny, to może z głodu umierać!

— Gdzie są te publiczne roboty? Dawać robotę!

Ratusz odpowiadał milczeniem. Wydawało się, że w tym jasnym gmachu nie było nikogo.

Brak odpowiedzi i te zamknięte naглуcho jak przed dzieje drzwi podnosiły zły płomień w oczach, zaciskały pięści. Tłum huczał i falował jak morze w czasie sztormu.

— Nie chcecie z nami gadać?

— Szaras, po raz ostatni prosimy grzecznie, nie igraj z narodem!

Raptem od mostu rozległy się krzyki. Towarzyszył im tętent końskich kopyt.

— Policja!!

W wąskiej ulicy, prowadzącej do rogatki, ukazały się granatowe sylwetki na koniach. Przystanęli. Paski pod brodą, obnażone szable w ręku.

— Rozejść się!

Ten i ów boczkiem smyrnął do bramy. Ale reszta stała nieporuszona.

— Rozejść się, w imieniu prawa!

— Takie wasze prawo! — rozległy się okrzyki. — Dajcie nam robotę!...

Policja ruszyła w tłum. Wśród ludzi zaszumiało, posyłały się kamienie. Jeden z policjantów musiał zdrowo oberwać, gdyż z wykrzywną twarzą machał wściekle szablą.

— Nie rozdzielać się! Razem!

Za późno. Tłum rozłupał zwartą kolumnę, pokrajał jej granatowe cielsko i rozprawił się teraz z poszczególnymi

*) Opisane wypadki rozegrały się w Kaliszu 9 i 10 lutego 1926 roku. Również nazwiska są autentyczne.



Rys. Henryk Derwich

członkami. Jeźdźcy, ściągnięci laskami, kijami, pięściami, nurkowali w gąszcz ludzi pilnujących głowy i wsiadali w bramy i boczne uliczki. Ktoś krzychał głośniejszym od innych, trzymając się za ramię. Robotnik z zakrwawioną twarzą usiłował wyrwać się z rąk towarzyszy, prowadzących go do szpitala.

— Puście mnie! Ja mu pokazę! Szablą po głowie? Za co?

Krzyk, który się teraz podniósł, zwrócił uwagę wszystkich na ratusz. Robotnik z zakrwawioną twarzą, kobieta w chustce usiłująca z dwójgiem małych dzieci wyrwać się z tłumu, policjanci gromadzący się w głębi ulicy — wszyscy patrzyli na ratusz.

Widowisko, które się tam rozgrywało, było naprawdę niecodzienne.

Stojący najbliżej drzwi wywalili bramę i wtargnęli do wnętrza. Cichy gmach zahuczał dziesiątkami głosów. Przebiegano pokoje, szukając znie-nawidzonego powszechnie Szarasa. I oto pan Szaras pokazał się. Był to jego pierwszy — i zapewne ostatni — popis gimnastyczny.

Wysoko, na trzecim piętrze, otworzyło się okno. Szaras, we własnej urzędowej osobie, wygramolił się na gzyms i trzy mając się trwożliwie ścian, wderował ostrożnie wzdłuż muru. Poleciały ku niemu



Rys H Derwich

drwiące okrzyki i kamienie. W jednej chwili buchnął olbrzymi śmiech. Cały plac, cały Kalisz śmiał się z pana prezydenta, który po gzymsie uciekał przed gniewem robotników i bezrobotnych.

Wreszcie dotarł widocznie do okna, za którym czuł się bezpieczny, gdyż tłumowi ukazały się jego pośladki w całej okazałości i krótkie nogi, czepiające się nieporadnie parapetu.

W tym samym czasie, zza okna jednego z niepozornych

domów, jakich pełno przy ulicy Towarowej, dobiegały podniecone głosy.

— Towarzysze! — za zaimprovizowaną mównicą stał robotnik w kraciastym szaliku — wieści idą niedobre. Starosta ściąga policję. Z Opatówka, z Błaszek, nawet z Turka!...

— No to co? — odkryknął ktoś. — Jak się boisz, to idź do mamy, pod pierzynę!

— Ale, towarzysze, zastanów się trzeba... — ciągnął (Ciąg dalszy na str. 2)

WHO is WHO in AMERICA?

Monopolistyczny „dyrektoriat” kontra instalator Durkin

„Daj pracującym we władanie

Plon pracy ich we wsi i miastach.

Bankierstwo rozpuść — i spraw Panie,

By pieniądź w pieniądź nie porastał.”

(Julian Tuwim, Nowy Jork, 1944)

Big Business był zawsze solidnie reprezentowany w kołach rządowych Waszyngtonu.

Kiedy demokratyczny Harry Truman był prezydentem, dobrał sobie następujących ministrów: handel — Harri-man, wspólnik „Brown Brothers Harriman & Co”, obrona — Forrestal, prezes „Dillon Read & Co” — Lovett, wspólnik „Brown Brothers Harriman” i gen. Draper, wiceprezes spółki „Dillon Road”, wy-soki komisarz USA w Niemczech — J. Mac Clay, dyrektor „Union-Pacific Rail”, ambasador USA w Wielkiej Brytanii — L. Douglas, powiernik spółki „Mutual Life Insurance”.

Wymienieni ludzie byli przed stawicielami drugorzędnych, najwyżej średnich grup monopolistycznych. Dopiero w gabinecie republikańskiego Eisenhowera znaleźli się czelówi kierownicy głównych grup monopolistycznych, którzy mają oficjalne stosunki z 86 korporacjami o łącznych aktywach 20 miliardów dolarów.

Galeria figur dolarowych

Potężne i kluczowe stanowisko ministra obrony, który wiąże cały przemysł z polityką, wziął na siebie prezes i dyrektor General Motors — Wilson. Jego zastępcą, wiceministrem obrony został Keys — wiceprezes General Motors (od kilku miesięcy wrócił do prywatnych interesów). Ministrem skarbu mianowano dyrektora przedsiębiorstwa „Continental Illinois National” — Ken-nedy. Sekretarzem stanu do spraw armii mianowano dyrektora trzech korporacji: General Electric,

Mutual Life i NYTelephone oraz dyrektora czolowej spółki włókienniczej — Stevensa.

Główny sekretarz stanu (tyle co minister spraw zagranicznych), John Foster Dulles, jest prawnym doradcą karteli, właścicielem firmy adwokackiej „Sullivan i Cromwell”, która prowadzi sprawy wielu spośród 66 miliardowych kolosów USA, dyrektorem International Nickel i prezesem „Fundacji Rockefellera”. Ministrem handlu został — Weeks, dyrektor „First National Bank of Boston”, który to bank jest jednym z 66 gigantów amerykańskiego kapitału. Minister poczty, to szef jednej z największych na świecie agencji sprzedaży samochodów Chevrolet w stanie Michigan — Arthur Summerfield. Prywatne dochody tego ministra przekraczają rocznie 100 tysięcy dolarów. Minister spraw wewnętrznych, to jeszcze jeden człowiek General Motors — Mc Kay, który brał udział w nieuzupełnieniu, a raczej całkiem ciemnych aferach naftowych, jak to stwierdził senator Morse w „Federal Press” (24. XI. 52 r.).

Na wpływowym stanowisku ambasadora USA w Wielkiej Brytanii jest szwagier J. Rockefellera, prezes „Chase National Bank” — pan Aldrich. Sam zaś syn J. Rockefellera — Nelson mianowany został podsekretarzem stanu w nowym ministerstwie zdrowia, wychowania i opieki społecznej. Wiceministrem w departamencie marynarki został — Gates, wspólnik „Banku Inwestycyjnego Drexel & Co”.

Ich stu i on jeden

A gdzie przedstawiciele świata prasy? — zapytają zdumieni czytelnicy.

Owszem — są i oni. A raczej — jest jeden. Jeszcze ścisłej — był, ale „wyszedł”. Oto króciutki historyjka o udziale przedstawicieli świata prasy w rządzie Eisenhowera. Obok wy-cieczonych powyżej grup rządu, dla przeciwwagi powołano do rządu jednego instalatora. Otóż instalator ten — Martin Durkin, wytrzymał w rządzie republikańskim kilka miesięcy, po których ustąpił niechętnie. Po ustąpieniu z rzutu on publicznie Eisenhowerowi, że ten nie dotrzymał

słowa, jeśli chodzi o wprowadzenie poprawek do antyrobotniczej ustawy Tafta.

Tak więc gabinet miliardowych dyrektorów, prawdziwy monopolistyczny „dyrektoriat”, jest dziś bez przedstawicieli świata prasy. Miejsce Durkina zajął skwapliwie byznesmen — James Mitchell.

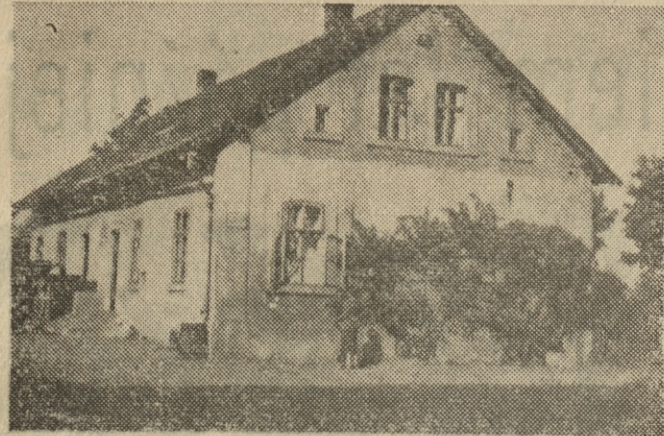
Jest rzeczą jasną, że tak skonstruowany rząd prowadzi politykę zgodną z interesami 66 monopolistycznych gigantów. Jest to rząd bankierów dla bankierów, który zajmuje się „byznesem uprzyjemniania życia dla górnych warstw” — jak napisał cytowany już senator Morse. Przedstawiciele Rockefellera, Duponta i Mellona, jako ministrowie spraw zagranicznych obrony i skarbu, mają w swym ręku kluczowe stanowiska polityczne i za ich pośrednictwem finansjera kontrolować może wszystkie posunięcia polityczne oraz dyktować narodowi co ma uznawać za dobre dla siebie, a co za złe.

To co jest dobre...

Recepta miliardów z klubu BDC jest zresztą bardzo prosta. Minister Wilson — według doniesień prasy amerykańskiej ze stycznia 1953 — oświadczył, że „to co jest dobre dla General Motors, jest dobre dla kraju”. Wiemy, że Wilson jest prezesem i dyrektorem General Motors, ale nie wiemy jeszcze, że już w tym czasie posiadał akcje tego koncernu na sumę 2,5 miliona dolarów. Rezultat? Posłuchajmy co pisał kapitalistyczny „Business Week” w okresie wojny koreańskiej.

„Jeżeli jesteś spółką General Motors, to możesz się spodziewać, że zarobisz bezpośrednio u rządu dziesięciokrotnie. Ale jeżeli jesteś małym lub średnim zakładem, to prawdopodobnie nigdy nie zobaczysz rządowego kontraktu”.

Walka o rządowe kontrakty w okresie wojen, to jeden z najsilniejszych przejawów wewnętrznej konkurencji kapitalistycznej w Stanach Zjednoczonych. Podczas drugiej wojny światowej 100 wielkich „szczupaków” monopolistycznych zagarnęło 2/3 wszystkich zamówień zbrojeniowych. Przez połowę wartości zamówień przepadła na 33 najbogatsze korporacje. Liczne „plotki” musiały się zadowolić trzecią częścią tupa i zamówieniami z drugiej ręki. A podczas wojny koreańskiej 10 czolowych relikwów monopolistycznych zdobyło połknąć 40% ogółu zamówień zbrojeniowych



Staraniem Prezydium GRN i aktywnego społecznego w dniu 13 września 1954 r. otwarto w Mielnie stały punkt lekarski, nazywany słusznie przez ludność ośrodkiem zdrowia. Od dnia otwarcia do 5 października br. przez ten punkt przesunęło się ponad 100 pacjentów, którym lekarz Justyna Woźniak i lekarz dr. Łazarowicz pomogli w przeprowadzeniu różnych dolegliwości fizycznych. Dokonano już także w tym okresie jednej małej, ale niebezpiecznej i nie cierpiącej zwłoki operacji.

Dwadzieścia osiem lat później

(Ciąg dalszy ze str. 1)

mówca. Na sali szumiło coraz głośniejsze.

— Racja, trzeba się zastanowić — wykrzyknął ktoś głosem silniejszym niż inne i obok mówcy w szaliku pojawiła się wysoka sylwetka. „Kapepowie!” — szepnął ktoś. — A więc zastanówmy się.

— Cicho! — rozległy się okrzyki. — Dajcie mówić.

— A więc — mówił nowy — był strajk w dwudziestym?

— Był! — odpowiedziała sala.

— Szło wtedy nam o to samo, znaczy się o roboty publiczne, czy nie?

— Wiadomo, o co szło, po co to gadanie! — niecierpliwie się ktoś pod drzwiami.

— Spokojnie, mamy się przebież zastanawiać — ciągnął dalej mówca. — Wybraliśmy wtedy, pamiętamy wszyscy, delegację, która poszła do prezydenta miasta. Na jej czele postawiliśmy towarzysza Koszutskiego, pamiętacie. I — pytam się ja — czy nasza manifestacja i strajki z roku dwudziestego dały wyniki? Czy władze musiały uruchomić roboty publiczne?

— Musiały! — odżyknęła sala.

— A więc zastanówmy się: czy warto walczyć o nasze prawa, czy też, jak ten tu radzi — płakać, że wieści niedobre, że policja... A kiedy to policja dla robotnika dobra była, co? Kto zna taką policję? Bo ja nie. My musimy walczyć, towarzysze! W tym jedyna droga.

Dalsze słowa zagłuszyły oklaski i wrzawa, która znowu podniosła się od drzwi. Zanim zebrani zdążyli pojąć, co się dzieje, drzwi otworzyły się i do sali wkroczył na czele kilkunastu policjantów starszy przodownik Walezyński. Był to postawny, barczysty mężczyzna o pociągłej, wygolonej twarzy.

— Rozkazuję rozejść się!

Ciszę, która zawisła nad salą, przerwał donośny głos.

— Zebranie jest legalne.

— Rozejście się, bo będziemy musieli użyć siły!

— Głupiś ty, Walezyński, z tą swoją siłą — rzekł ktoś do broduznie — sam się wynos, bo nie daj Boże, oberwiesz po krzyżu.

I prawie w tej samej chwili zakotłowało się gwałtownie. Policjanci krzesła, posypały się szyby. Jeden z policjantów stojący najbliżej okna, wyleciał z trzaskiem. Przodownik Walezyński zauważył w pewnej chwili, że znajduje się w korytarzu. Twarze wokół nie wrożyły nic dobrego. Zrobiło mu się gorąco. Runął do bramy, na ulicę. Kątem oka zauważył, że kilku podąża za nim. Inni policjanci uciekali przez boczne podwórka, reszta niechętnie wycofywała się z sali. Walezyński wpadł do sąsiedniej bramy. Okute blachą drzwi — ale z drugiej strony napiera kilka silnych ramion. Skobel... Gdzie jest skobel! Poczuł, że nie da rady i skoczył na podwórko.

Tłum przed ratuszem nie ruszał się z miejsca. Nie ruszał się nawet wtedy, kiedy ujrzał przed sobą kompanię wojska z 29 pułku strzelców kaniowskich z bagnietami nasadzonymi na karabiny. Rozkaz oficera

ustawił kompanię w dwuszeręgu. Po chwili padł drugi rozkaz. Ale wówczas bagnety opadły do ziemi. Żołnierze obójnie patrzyli oficerowi w oczy. Milczeli. Ktoś z tłumu głośno zapłakał.

☆
Z Sysiakiem i Zielińskim pożegnałem się przy moście. Chyba teraz do domu, co? — pytam. Wiem, że przyszli bezpośrednio z zebrania organizacji partyjnej w Fabryce Pluszu i Aksamitu, gdzie obaj pracują. Pokreślił głową, przed wybrami dla aktywistów wiele roboty. Trzeba jeszcze być na zebraniu, na którym wspólnie z mieszkańcami obwodu będzie się omawiał program wyborczy Frontu Narodowego.

Mam ten program przed sobą. Przerzucam drukowane kartki. Jest w niej terazniejszość i przyszłość Kalisza. I rozbudowane fabryki i nowe osiedle mieszkaniowe im. Marchlewskiego. I szkoły — które wybudowano, i te, które będzie się budowało.

Zanim się rozstaliśmy, Zieliński opowiedział do końca przebieg wiecu przy ul. Towarowej. Starszy przodownik Walezyński strzelał do tłumu. Dwaj robotnicy — jeden od Gedego — zostali ranni.

— Ale w końcu zwyciężyliśmy. Roboty publiczne musiały burżuazyjna rada rozszerzyć!

Od tamtych dni minęło dwa dziesięcia osiem lat. Myślę, że kaliszanie dobrze pamiętają wypadki dwudziestego szóstego roku. I nie jeden raz do nich myślą wracają. Zwłaszcza teraz, kiedy wybierają kandydatów do rady miejskiej — innej niż wówczas. Do rady na prawdę narodowej, wybranej przez naród — i dla narodu.

J. B.

Atak na komedie

Wśród wielu dobrych i różnych filmów, jakie oglądaliśmy na naszych ekranach, komedii filmowych było stanowczo za mało. Głód humoru na ekranie stał się wśród widzów tak powszechny, że sprawa ta zainteresowała się wreszcie sami filmowcy.

Oto garść informacji w rodzaju takich, na które widz czeka od dawna:

Wielec nie polewając filmów, które będą nakręcone w roku przyszłym, filmowcy węgierscy zamierzają poświęcić komedii. Utrzymać więc znów znanego powszechnie komika Kalmana Latabara — tym razem w roli głównej clowna cyrkowego w tragi-komedii pt. „Głowa do góry”. Operetka z życia studentów pt. „Dwa razy dwa jest czasem pięć”, kolorowy film o dzieciach węgierskich „Ja i mój dziadek” oraz „Miłość w karocy” — oto niektóre tytuły nowych węgierskich komedii filmowych.

W Związku Radzieckim przystępuje się m. in. do kręcenia dwu komedii, których akcja — podobnie jak w „Dygnitarzu na trawie” — rozgrywa się współcześnie. Tytuły robocze: „Niebieskie strzały” (reż. S. Timoszenko) i „Pięć leopardów” (reż. A. Iwanowski i N. Koszewierowa).

W pierwsze lata dwudziestego wieku przeniesie nas akcja czeskiej komedii filmowej rozgrywająca się w małym miasteczku. Przyozyna zabawnych perypetii jest paczka która przychodzi ze Szwajcarii z dziwnym nieco a-

Z cyklu: Mieliszyn

Pan wójt i jego kompania

Na dźwięk słowa Gniezno, każdemu Polakowi zabije żywiej serce. Dlatego przede wszystkim, że nasuwa szereg myśli, skojarzeń i wspomnień historycznych. Tu była kolebka naszej organizacji państwowej i wspólnoty narodowej. Wiedząc o tym „kulturtraegerzy” spod znaku Bismarcka robili wszystko co było w ich mocy, aby znaczenie narodowe tego ośrodka umniejszyć, pokryć prochem zapomnienia. W tym celu wliczono Gniezno. Do tego otoczenia sporo kwiatków dołożył spadkobierca Kalksteina. Rozparcelował on swój majątek o obszarze 600 ha w 1907 roku, osadzając na silnych gospodarstwach sprowadzonych z Brandenburgii Niemców. Chłopi polscy w Mieliszynie spadli do roli wyrobników kułackich, lub zmuszeni byli emigrować do rosnącego w Westfalii okręgu przemysłowego.

O to chodziło m. in. imperia- listom pruskim w ich polityce. Różnymi drakońskimi metodami szowiniści pruscy nie zdołali jednak osłabić ducha narodowego. Duch ten przejął się w czynne orężnym w 1918 roku. Gniezno było drugim po Poznaniu miastem, którego ludność przy pomocy okolicznych chłopów przepędziła wojska pruskie i junkierskie urzędników.

Władomą powszechnie, że panowie szlachta, a także część burżuazji niechętni byli powstaniu. Wbrew obszarnikom i bankierom lud sam postanowił wyzwolić się spod władzy Prusaków i rodzimych ciemnych. Aczkolwiek nie miało, ale mówiono o reformie rolnej, o parcelacji ziemi, o uspołecznieniu fabryk. Przerazili się tymi nastrojami obszarnicy, błądy strach padł na burżuazję. I dlatego rzucono hasła bogu-ojczyźniane, ruszono gremialnie do powstania obejmując zarazem jego kierownictwo. Posługując się oszukańczymi hasłami silumiono nastroje rewolucyjne.

Kto rządził w Mieliszynie?

Po zwycięskim zakończeniu powstania wielkopolskiego żołnierze-chłopi i żołnierze-robotnicy kompanii mieliszynskiej powrócili do domów. Po raz nie wiadomo który w historii chłopstwo zostało znowu oszukane. Powrócili z wojny zastali już mianowanych soltysów, wójtów, starostów. Nikt ich się nie zapytał kogo chcieli by widzieć na stanowiskach samorządowych. Mianowano wszę dzie bogaczy, bo w razie czego — mówiono — mogą oni odpowiadać swoimi majątkami. Tym „argumentem” szermowano przy każdym wyborach samorządowych w okresie całego międzywojennego 20-lecia. Już nie tylko stanowiska odpowiedzialne w samorządzie gmin-

nym, ale nawet funkcje społeczne obsadzano obszarnikami, kułakami polskimi i niemieckimi oraz handlarzami i sklepikarzami. W zarządzie gminy, w radzie gminnej i komisiach nie było po 1926 r. ani jednego robotnika, mimo że na terenie gminy Mieliszyn mieszkało ich kilkuset. Nie było ani jednego chłopca mało-rolnego, ba, nie było nawet chłopca posiadającego mniej niż 15 ha gruntu. Najlepiej zilustruje to przykład:

Wójt — Franciszek Saskowski, właściciel 350 ha z Popowa-Ignacewa,

zastępca wójta — Józef Wańkowski, właściciel 20 ha z Popowa-Tomkowego,

ławnicy — Władysław Skibiński z Borzawy 42 ha, Michał Paruszewski z Działkowa 600 ha, Franciszek Garstka z Mieliszyna 28 ha, Wincenty Elchstedt z Kowalewa 50 ha itd.

Najznamienniejsze, że z tego składu wyłoniono także komisję rewizyjną w osobach Paruszewskiego i Skibińskiego oraz dokooptowano spoza rady rządzącej majątków obszarnika Wendorfa — Ottona Schachta. Miał cel Wendorf posyłając do komisji swego urzędnika. Razem z obszarnikami polskimi ciągnął on bowiem z gminy znaczne korzyści materialne.

Chciwi lichwiarze

Ci sami ludzie wraz z kilku innymi posiadaczami i wyzyskiwaczami rządzący także w kółkach rolniczych. Na zebraniach tych kółek nie było mowy o podnoszeniu produkcji rolnej, nie starano się zwalczać lichwiarskich procentów pobieranych przez kapitalistyczne banki oraz wiejskich i miejskich lichwiarzy. Odczytywano raz po raz wyjątki z „Rerum Novarum” i innych encyklik papieskich, ściągnano składki i na tym koniec.

A procenty pobierane przez banki od zadłużonych chłopów były po prostu rozbójem na publicznej drodze, uprawianym w majestacie prawa. Przy kredycie tzw. prolongacyjnym (odsetki, dyskonto, redyskonto, koszt manipulacyjny, administracyjne itp.), pobierano co kwartał 12 procent, czyli 48 proc. rocznie. Procenty pobierane przez kapitalistów prywatnych były jeszcze wyższe, bo dochodziły niejednokrotnie do 8 procent miesięcznie, czyli 96 proc. rocznie. O tym nie mogło być mowy na zebraniach kółek rolniczych, bo przecież do grona prywatnych pożyczkodawców należał także pan wójt Saskowski...

Na co chłopci mieliszynskiej gminy zaciągali pożyczki?

Pewnie odpowiedzie, że na budowę silosów, na powiększenie inwentarza, na zakup maszyn, na nawozy sztuczne, na ziarno kwalifikowane... Tak wam się zdaje, bo na te cele właśnie, czyli na podniesienie produkcji otrzymujecie dziś pożyczki od państwa ludowego i to pożyczki oprocentowane barzo nisko, prawie symbolicznie. Dawne chłopci brali pożyczki na spłatę ziemi z parcelacji, (bo gdy im oszacowano działki, cena zboża wynosiła 40 zł za kwintal, gdy po 1928 roku nadszedł okres płatności cena zboża spadła do 14 zł — a suma spłat pozostała niezmieniona), na spłatę ciążącą na gospodarstwach renty wleczystej, na spłaty rodzinne, na kupno zboża na przedwzrostku — słowem na cele nieprodukcyjne.

Koszt chłopów i robotników

W Mieliszynie i niektórych przyległych wsłach mieszkało w latach 1930/39 trzydziści

sześć rodzin bezrobotnych. W budżecie gminy był pewien fundusz na ich zatrudnienie. Sądziacie zapewne, że za te pieniądze ulepszano drogi gminne, budowano jakieś urządzenia społeczne np. ośrodek zdrowia lub świetlicę? Nie. Za pieniądze z budżetu gminnego bezrobotni Mieliszyna budowali drogi o twardej nawierzchni, ale w majątku pana wójta Saskowskiego, w majątku pana Wendorfa w Mielnie, pana Kijewskiego w Popowie Podlesnym, pana Paruszewskiego w Działkowie itd. Bezrobotni brukowali podwórza, budowali szopy i pomniejsze budynki, kopali rowy melioracyjne na polach i łąkach należących do wyższych wymienionych i kilku innych dziedziców.

Był taki przepis ustawy w latach przedwojennych, który mówił, że młodzieńcy zwolnieni z tych czy innych przyczyn od służby wojskowej zobowiązani byli przez dwa lata do 11 dni bezpłatnej pracy na rzecz gminy. Było ich w gminie Mieliszynie corocznie 30—40, czyli licząc przeciętnie 35 osób, które dawały rocznie 385 roboczodniówek. I jak myśleć, gdzie ci chłopcy pracowali? Tak, tak. Słusznie się domyślać. Na majątku pana wójta Saskowskiego w Popowie-Ignacewie, szczególnie podczas żniw i wykopków.

Głusi na łyż wód

W księdze protokołarnej z posiedzeń zarządu gminnego z rok 1939 czytamy, że wnioski o wsparcie dla wód i sierot były z reguły oddane ze względu na brak funduszu. Ale równocześnie pod datą 8. IV. 1939 tenże sam zarząd gminny postanowił zwrócić Johannowi Wendorfowi z Mielna koszt leczenia w kwocie 160 złotych i 67 groszy. Postanowieniem z dnia 25. 5. 1939 ułożono temu samemu Wendorfowi świadczenia w naturze (szarwark) przypadające na rzecz gminy z jego folwarków Mielno, Przysieka, Nowaszyce i Modliszewko. Na tym samym posiedzeniu ułożono właścicielowi 25 ha Paulowi Schneidrowi I ratę podatków gminnych, ale w dniu 6. 7. 1939 oddano prośbę o subwencję na kolonie letnie dla dzieci rolniczych z Gniezna — z powodu braku funduszy.

Znamienne, co? Ciągnęli więc obszarnicy korzyści ze swoich rządów w gminie, czy też nie? Jak sądzicie?

Co robił Herr Wendorf

Mógł Wendorf trząść gminą, egzekwować dla siebie koszty leczenia, powodować zwalnianie z szarwarku, skoro sekretarz gminy i jego zastępca byli we dworze w Mielnie częstymi gośćmi. Leżeli tam — jak mówią ludzie — po natchnieniu i dyrektywy Mógł Wendorf w latach 1936—39 urządzić u siebie w Mielnie zjazdy nielegalnej Jungdeutsche Partei (Partia młodo-niemiecka — inaczej hitlerowcy) oraz Bund Deutscher Jugend (młodzież faszystowska), mógł urządzić w swoich lasach ćwiczenia tych organizacji z bronią ręczną i maszynową, bo na doniesienia chłopów i robotników do gminy i na posterunek policji granatowej nikt nie reagował. Gdy przedwojenny dziennikarz ośmielił się napisać o tych faktach, przestrzegając społeczeństwo przed dywersją hitlerowską, oskarżono go „o rozpowszechnianie fałszywych wiadomości”, mogącich wywołać niepokój publiczny” i skazano na 2 miesiące więzienia.

Tak więc, nawet na małym odcinku, na terenie jednej gminy i powiatu ujawniło się powłazanie rządzącej Polską sanacji z hitleryzmem. To powłazanie w skali krajowej doprowadziło w konsekwencji do katastrofy wrześniowej, do 5-letniej faszystowskiej niewoli. Jak po nocy nadechodzi dzień, tak i po strasnej okupacji nadszedł radośny dzień wyzwolenia, a wraz z nim nowe życie dla ludności Mieliszyna.

O tym, jak to NOWE torowało sobie drogę w ostrej walce z elementami kapitalistycznymi opowiemy w następnym reportażu.

Ze starych szpargałów

Na targ z kamie iami!

Tak, na targ do Poznania przed stu pięćdziesięciu laty trzeba było jechać z 3 kamieniami. Kto by tego nie zrobił, podlegał karze grożącej od każdego nieprzyjaciela zionego glazu.

Tak zarządziły władze miejskie w r. 1808 i nakaz ten wznowiły w roku 1816, gdyż bruk był tak lichy, iż chodzić było trudno, albo na niektórych ulicach w ogóle go nie było.

Były to czasy, kiedy Poznań liczył zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców, a w jego oknach „wystawowych” (zwyczajnie okienka) — jak pisał M. Motyka, „tu i owdzie tylko... widniała cytryna, głowa cukru, lub flaszcza oliwy, a nade drzwiami od ulicy skromny szyld z napisem”.

Książęce czasy marszałka dworu

Biskupi poznańscy mieli o prócz Poznania 3 rezydencje. I to: Ciążeń (pow. Września), Dolsk i Krobie. Jeden z nich, Teodor książę Czartoryski, utrzymywał w Ciążeniu znaczną ilość dworzan, kapelę i żołnierzy. Ten cały dwór nie służył wcale biskupowi, bo ten z jednym dworzanninem, kuchmistrem i hajdukiem siedział w ulubionym Dolsku — ale marszałkowi dworu ciążeńskiego. Dwa razy w tygodniu musiała mu przygrywać biskupio-księżęca orkiestra w czasie uczt, a także swoje oczy zabawiał piasmami, bo i do tego część służby była zobowiązana.

Jak pisał J. Kitowicz: „Liczną gromadą dworzan nie miała żadnych innych powinności jak tylko usiąść do stołu i najedzszy się bawić, czym się któremu podobало”.

Ale gdy książę-biskup chciał wydać ucztę swoim przyjaciółom, liczny dwór z Ciążenia wyprawiał się do Dolska (50 km), aby podnieść splendor biskupa.

Pierwsze czasopismo pszczelarskie

„Pszczelarz” — pierwsze w Polsce czasopismo pszczelarskie narodowe — na wschód wielkopolskiej — w Chocieszewicach (obecnie Pepowo — pow. Gostyń Wlkp.) w roku 1880. Redaktorem i wydawcą był L. Fr. Stabrowski — prawdopodobnie nauczyciel. Artykuły w „Pszczelarzu” umieszczali najlepsi hodowcy, a także naukowcy krajowi i zagraniczni.

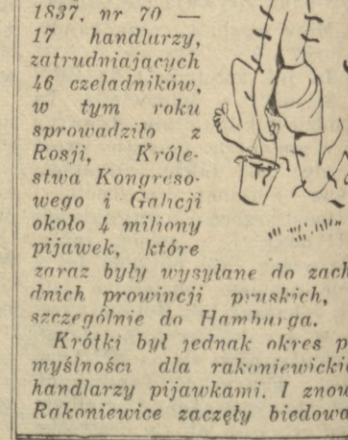
Zdaniem ówczesnych „Pszczelarz” z Chocieszewic mógł się równać z najlepszym paryskim piśmie pszczelarskim — „Apiculteur”. „Pszczelarz” odkupił dr K. Krasicki i redakcję przeniósł do Gniezna. Nie długo jednak mógł utrzymać się z braku funduszy i poparcia. Po paru latach „Pszczelarz” przestał wychodzić.

Rakoniewice i pijawki

Rakoniewice sławiły się przez stu piętnastu laty handlem pijawkami i to na skalę europejską. Pijawki miały wtenczas olbrzymie powodzenie w lecznictwie.

Jak pisał „Ga zeta W. Księstwa Poznańskiego” z roku 1837, nr 70 — 17 handlarzy, zatrudniających 46 czeladników, w tym roku sprowadziło z Rosji, Królestwa Kongresowego i Gahoj około 4 miliony pijawek, które zaraz były wysyłane do zachodnich prowincji pruskich, a szczególnie do Hamburga.

Krótki był jednak okres pomyślności dla rakoniewickich handlarzy pijawkami. I znowu Rakoniewice zaczęły biedować.



Poezja matematyki

Poezja matematyki? Nie jeden z Czytelników, spojrzawszy na tytuł artykułu, zachnie się z irytacją lub drwiąco wzruszy ramionami: „Nauka, która w przekonaniu wielu ludzi jest synonimem oświecenia i próżni — ona miałaby być poezją? Wolne żarty, autorze!”

SZUKAJMY W SŁOWNIKU

Rozważmy wszakże sprawę „sine ira et studio”. Przede wszystkim sam wyraz „poezja”. Siegamy oto po słownik języka starogreckiego, z którego ten wyraz jest zaczerpnięty, a którym mówił i w którym nauczał jeden z najstarszych matematyków świata, już nie jej entuzjasta, ale prawdziwy apostoł — Pitagoras z Samos. Ten sam, który przed dwoma i pół tysiącem lat był rzeczniczkami tezy: „Wszystko jest liczbą”.

Czytamy: „Poiesis” — twożenie. Wyrazy: poezja, poeta są już zlatynizowanymi wyrazami języka greckiego po przebieżonej zmianie znaczeniowej, przejętej przez języki nowożytne. Stwierdzamy fakt, że wyraz „poezja” odsyła nas swą etymologią do pewnych procesów twórczych.

Pozostaje wykazać, że matematyka jest tworzeniem. Rzecz jasna, że określone dyspozycje twórcy, inna technika tworzenia, inne przede wszystkim „tworzywo” — sprawia, że linie analogii tworzenia matematycznego i artystycznego nie będą zbyt posłusznie się zbliżać. Zauważmy przecież ciekawą szczegół, że starożytni twórcy geometrii uważali linię i cyrkiel za jedyne instrumenty godne matematyka. Tylko one, w ich rozumieniu pozwalały na konstrukcje, kształtujące myśl i odpowiadające, w moim estetyki.

„ROMANTYKA” NIESKOŃCZONOŚCI

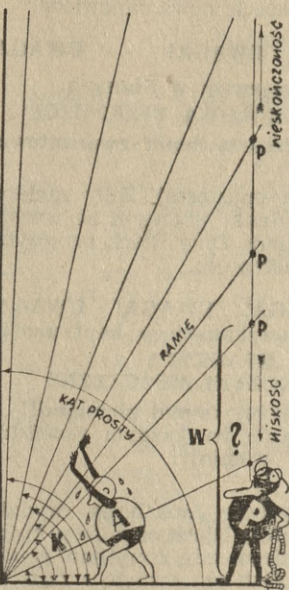
Ale sięgnijmy już, na chybilił trafil, do klasycznych przykładów matematycznej „poiesis”. Utworzymy oto... nieskończoność i nicość! Bedziemy przy tym pamiętać o celnej myśli Szarowtowa: „Matematyka, jako nauka o wielkościach, w zasadzie bada ilościową stronę procesów, abstrahuje od ich rzeczowej treści, jednak nie może być podstawą, aby jej pojęcia i zasady były rozpatrywane jako twory czystej myśli”. Krótko mówiąc, naszą matematyczną „poiesis”, choć pojęciową, będziemy uparcie kontrolować od strony praktyki.

Rysunek, który publikujemy, jest właściwie całkowicie zbędny. Podkreślamy to groteskowością obu figurek. Tylko szacunkowo dla „żywych wrażeń zmysłowych” skłania nas, aby go zamieścić. Przedstawia on pewien poziomy odcinek (praktycznie niechaj ma on 10 cm). Z jednego z jego końców wyprowadzona jest „półprosta”, tworząc jako „ramię” pewien kąt z odcinkiem. Zarazem na drugim końcu odcinka (tam gdzie stoi zabawna figura P) wystawiona jest prostopadła.

Zaczyna się proces twórczy „Ramie” kąta, dotąd bezzilne i nieruchome, wznosi się na pewną wysokość W. Praktycznie niechaj wynosi ona tyleż, co długość poziomego odcinka, a więc również 10 cm. Wielkość tego

Dr R. Krzyżaniak

wzniesienia sygnalizuje nawet punkt P. Kąt wzniesienia wynosi wtedy 45 stopni. Dla większej prostoty nazwijmy ten kąt symbolem: K. Ale oto ramię kąta, poderwane wysiłkiem twórczej abstrakcji (A), drgnęło znowu, kąt wzniesienia K, coraz to bardziej rośnie. Praktyka P, uzbrojona w okulary chłodnej rozważliwości i utylizizmu śledzi z napięciem wzrastanie kąta przy pomocy katometra: 50, 60, 70, 80 stopni.



Nieruchomy punkt P, również „ożywił się”. Wspina się oto, posłuszny woli abstrakcji A, a coraz to większą wysokość, czemu z uznaniem przygląda się praktyka P, zadzierając coraz to wyższą głowę. Jako wprawni twórcy, śledzimy, jak „tworzywo” kształtuje się nam coraz wyraźniej. Oto, gdy nasz kąt K będzie dostatecznie wielki, wysokość W, na jakiej znajdzie się posuwający się po prostopadłej ruchliwy punkt, może stać się tak wielka, jak tego tylko zechcemy, ba, może stać się... nieskończoność wielka! Mówiąc krótko: gdy kąt K „dąży” do kąta prostego, tworzy nieskończoność „W”.

A TERAZ ZMIERZMY

Praktyka P trwa w swym słusznym empiryzmie, albowiem już Bacon, „ojciec” naukowego praktycyzmu, ostrzegał, że „umysłowi ludzkiemu nie skrzydeł trzeba, ale ołowiu”, skoro „tyle mamy władzy (nad przyrodą), ile wiedzy”. Oto kilka szybkich kontrolnych pomiarów praktyk, dokonanych sumiennie podczas wzrastania kąta K:

Wielkość kąta K	Wielkość wzniesienia W
45 stopni	10 cm
50	11,92
60	17,32
70	27,47
80	56,71

Właściwie to w naszym rozmachu twórczym wybiegliśmy już „poza rozmiar artykułu”. „Głosu”, ale w ramach matematycznej „improwizacji” rikt i nic nie żąda od nas pohamowania. Tymczasem abstrakcja, co tu podkreślmy z naciskiem, bez użycia taśmy mierniczej błyskawicznie określać umie odnośne „wzniesienia” przy danym kącie, więc wyteżywszy swe siły lekkimi drgnięciami ramienia kąta „oni” nieskończoność punkt P na coraz to zawrotniejsze wysokości:

89 stopni	572,90 cm
89 „ 50 min.	3437,73 „
89 „ 59 „	34277 „
89 „ 59 „ 59 sek.	206260 „

U! Utwór swa wielkością już dawno przerósł twórców. Ale jesteśmy nieznużeni, upaja nas poiesis matematyczna. Przy lekturze tylko drgnięciach ramienia kąta, punkt P skacze jak oszalały, wykonując karkołomne skoki ku... nieskończoności. Praktyka P zaopatrzona w precyzyjny katometr, rozdziela posłusznie stopień katowy w pierw na 60 minut, a potem nawet jedna minuta na 60 sekund katowych. Przy przedostatnim kącie praktyka stwierdzić musi przewyższenie... wieży Eiffla, a przy ostatnim punkt P znajduje się na wysokości ponad 2 km. Czyż konieczność tej akrobacji myślowej? Bynajmniej! Jakis monstrualny ekran pozwoliłby nam przy pomocy zwolnionych zdjęć kinowych śledzić naocznie, jak odlenki W „dąży” do nieskończoności...

MARSZ KU NICOŚCI

Ale oto znów abstrakcja A, wycedzająca nie byle jakim wysiłkiem, zwalnia podtrzymywane ramię kąta, które opada ku poziomowi. Punkt P spada, na leżąca sypie... wysokość maleje błyskawicznie „dążąc” do... nicości... która jest zero:

5 stopni	0,87 cm
1 stopień	0,17 „
1 minuta	0,00029 „
1 sekunda	0,000048 „

Matematyczna poiesis nieskończoności i nicości dobiegła tak

kresu. Praktyka przyznaje, że jakaś gigantyczna... drabina strażacka pozwoliłaby jej śledzić matematyczną „wspinaczkę” punktu P w niekończoność, jak również mikrometr elektronowy niknieciego następnie w nicości. Imponuje jej wszakże oświadczenie abstrakcji, że ona sama jest zdolna dokonać teoretycznie obliczeń odnośnych wysokości i to zupełnie bez użycia takich rek wizytów... Wystarczy odwołać się abstrakcji do pomocy tak zwanych szeregów funkcyjnych.

JAK Z TEGO KORZYSTAMY?

Praktykę dręczą wszakże pytania, kto odbierze naszą matematyczną twórczość nieskończoności i nicości? Oto i „odbiorcy” cisną się lawą: astronomia, fizyka, mechanika, technika, by wymienić tylko niektóre nauki. I tak w astronomii przedstawiony tu proces twórczy jest (w grubym zarysie) spożytkowany do pomiarów odległości ciał niebieskich. Matematyka tworzy pojebie nieskończoności i zera, „funkcji trygonometrycznych” (w naszej poiesis była to „funkcja” kąta tangensa), tworzy formuły pozwalające teoretycznie z danej kąta obliczać „wysokości” dla potrzeb praktyki. Dozoruje korekty przy drukowaniu wyników tych obliczeń w specjalnych „tablicach”, dostarcza astronomowi algorytmu (metody obliczeń), wskazuje na niebie obiekty, nim dostrzeże je teleskop (tak było z jedną z planet, matematyka świeciła tu swój świetny triumf), gwarantuje niezawodnością swych osiągnięć rozwój nauk.

SKARB

przez wieki pod ziemią ukryty

W encyklopedii, wydanej przez krakowskiego Guttenberga, znaleźć można m.in. takie słowa: „Chiny po siadają ogromne bogactwa rozmaitych kopalin, dotychczas jednak słabo wyzyskane”. „Encyclopaedia Britannica” mówi więcej, mianowicie, że zasoby węgla jednej tylko prowincji Szan-si mogłyby za spokojić potrzeby całego świata, licząc według obecnego poziomu, na wiele tysięcy lat! A więc Chiny są krajem, mającym niezwykle obfite pokłady węgla, przewyższające znacznie słynne jego skupiska u wybrzeży Wielkich Jezior w Ameryce Północnej.

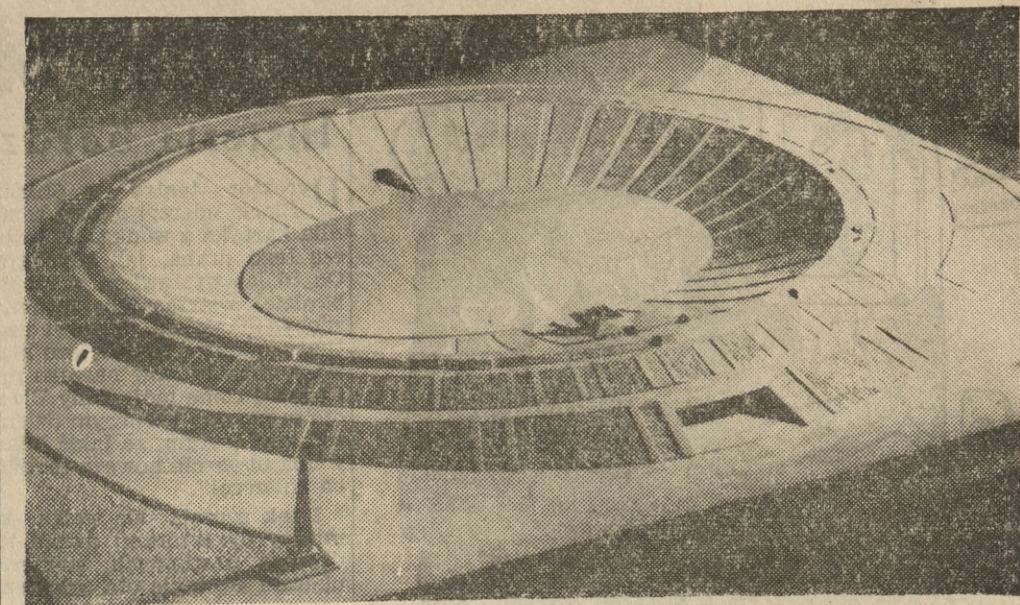
I pomyśleć, że do niedawna te olbrzymie bogactwa leżały bezużytecznie. Dlaczego?

Kto na tym zarabiał?

Zajrzyjmy znów do encyklopedii. „Przemysł w nowożytnym tego słowa znaczeniu — czytamy — rozwinął się... dzięki inicjatywie obokrajowców”. Jeżeli do tej informacji dodamy drugą, mówiącą, że Chiny jeszcze do roku 1949 importowały sporo węgla z USA i po... mocno słownych cenach — wyjaśni nam się, dlaczego tyle węgla chińskiego tak długo leżało w ziemi bezużytecznie. Dawne — zresztą nie tak barzo dawne — Chiny, pozbawione własnego wielkiego przemysłu i uzależnione od obcego kapitału, były jednym z przykładów, których pełno w okresie najwyższego rozwoju kapitalizmu. Po prostu obcym kapitalistom bardziej opłacało się przywozić daleką drogą węgiel z USA niż wydobywać go na miejscu, w takim zakresie, na jaki pozwalały bogactwa złoża. A że to odbywało się ze szkodą dla wielu milionów ludności chińskiej, żyjącej w opłakanych warunkach — to już, jak zwykle, kapitalistów nie obchodziło.

Kilka lat zaledwie minęło, jak naród chiński uwolnił się od takich i innych „dobrodziejstw”. Będąc prawdziwym gospodarzem własnego kraju, zakasał rekawy i zabrał się przede wszystkim do budowy fundamentów nowego życia — do budowy wielkiego przemysłu, opartego na miejscowych bogactwach naturalnych. Po rozległych obszarach kraju, jak Chiny długie i szerokie, wędrowały i dąły kłody ekipy geologiczne, odkrywając coraz to nowe bogactwa ukryte w ziemi. Badań te przyniosły rewelacje nie wprost wyniki.

Oto jeden z przykładów: Jeszcze w roku 1937 fachowcy amerykańscy badali złoża naftowe w okolicy Jumen w prowincji Kan-su i stwierdzili, że złóż tych nie



Miejsce na 70 tysięcy oklasków

Od specjalnego wysłannika

— A tu, u licha, co znów robią? — myśli przybysz, który ostatnio widział Warszawę wiosną, patrząc na wysokie wały rosnące na praskim brzegu.

Tajemnica wyjaśnia się szybko. Tuż przy przyczółku Mostu Poniatowskiego widać duży napis: BUDOWA STADIONU FESTIWALOWEGO.

— A więc to tu — myśli przybysz i zaciekawiony wchodzi do środka.

Pracuje 650 ludzi

650 ludzi krząta się po budowie. W środku pracuje 25 koparek, spycharek, zgarniarków i innych maszyn, z których każda zastępuje pracę setek rąk ludzkich. 40 samochodów bez przerwy przywozi gruz z miasta. Dziennie przybywa wokół przyszłego boiska do 9 tys. metrów sześciennych piasku, ziemi i gruzu. Na Wiśle pracują dzień i noc dwie pogiębiarki, które na dobie „przepompowują” na brzeg Wisły 2—3 tys. metrów piasku. Wprost wierzyć się nie chce, że już do połowy grudnia wszystkie prace ziemne przy sypaniu wałów zostaną ukończone!

Od głównego inżyniera budowy Henryka Seredyki można dowiedzieć się, że do usypania samych wałów trzeba zużyć 650.000 metrów sześciennych ziemi, a cały „ruch mas ziemnych” przy budowie stadionu oblicza się na 1.200.000 m³! Jeden „Star” zabiera przeciętnie 2,2 m³ piasku, a więc utworzyłaby się kolumna samochodów licząca przeszło 500 km długości, a więc — przedstawiając to bardziej obrazowo — pierwszy samochód tego olbrzymiego węża dojeżdżałby do Poznania, a ostatni — znajdowałby się jeszcze... w Białymstoku!

Wały na pięć pięter

Wiele ciekawych szczegółów dowiedzieć się można także od głównego projektanta stadionu, prof. Hryniewieckiego. Wysokość wałów — 19 metrów, a więc tyle co 5-piętrowa kamienica. Szerokość — 55—75 rzędów. Całość pomieści 70.000 widzów. Publiczność wchodzić będzie na stadion sześcioma wejściami, ze wszystkich stron. Całość podzielono na 42 segmenty, czyli pola, z których każde pomieści tyle osób, co nowa Opera warszawska! Pomyślano również o tym, aby przy stadionie znajdował się przystanek kolei elektrycznej.

A Króćak — tedy

— No, dobrze, a kotoredy na stadion będzie wędził Króćak i inni nasi kolarze jako zwycięzcy przyszłego Wyścigu Pokoju?

— I o tym pomyśleliśmy — odpowiada prof. Hryniewiecki. — Stadion połączą ze światem zewnętrznym trzy tunele. Pierwszy posłuży jako brama główna. Grubość żelbetonowej ściany tunełu wynosi z

boku 2 metry, a od góry jeden. Ściana ta przecież musi stawiać opór olbrzymiemu ciśnieniu mas ziemnych całego wału. Sam tunel posiada 12 metrów szerokości, wystarczy zatem nawet dla defilujących zawodników. Prócz tego do środka stadionu prowadzą dwa mniejsze tunele. Pawilon sportowy, duży budynek o 3 kondygnacjach pomieści na pierwszym piętrze szatnię dla 450 zawodników, a na drugim — gabinety lekarskie, sale gimnastyczne i treningowe itp. Przy pawilonie będzie boisko treningowe, przeznaczone głównie dla rozgrzewki zawodników przed startem.

Jak zrodził się projekt budowy

Właściwie miał tutaj powstać skromny stadion dzielnicowy na kilka tysięcy widzów. Myśl zbudowania takiego obiektu jako powstanie obecnie dojrzała dopiero latem, kiedy Polscy powozowoz zorganizowanie festiwalu. Stadion oddany zostanie do użytku już w czerwcu 1955 roku. Oczywiście, liczy się jeszcze „z osiadaniami wałów” i dlatego ławki oraz nawierzchnia układane będą z prefabrykatów betonowych, które mogą w czasie osiadania „klawiszować”.

Trudno o bardziej malownicze i praktyczniejsze położenie dla tego rodzaju inwestycji. Przy rzeczce powstanie piękny bulwar, a amfiteatrnie opadająca ku Wiśle zewnętrzna strona stoków wału stworzy dobry punkt obserwacyjny dla różnych imprez wodnych odbywających się na Wiśle.

M. FLEJSIEROWICZ

Pierwsze wieczne pióro

Zasługę skonstruowania pierwszego wiecznego pióra przypisuje się Amerykaninowi — Watermanowi. Okazuje się jednak, iż miał on poprzedników już w czasach barzo odległych.

Gdy odkopano słynny grobowiec faraona Tutankhamona, pochodzący, jak wiadomo, sprzed przeszło 4.000 lat, znaleziono tam przedmiot, który uważa się za prototyp wiecznego pióra. Był to kawałek trzciny, długości 7,5 cm — a grubości ołówka. Na jednym końcu trzcina była zaokrąglona, a całość tkwiła w miedzianej obsadce. Czarne ślady wskazywały, że górny koniec nasycony jakimś cennym płynem, który przeciekał przez włókna trzciny i spływał po zaokrąglonym końcu. Okazuje się więc, że już starożytni Egipcjanie znali się na sztuce wyrobu wiecznych piór.

Tak, a nie inaczej

CZYLI PRAWIDŁOWO ROZWIĄZANY KONKURS SPORTOWY ZAMIESZCZONY W DODATKU „NOWY ŚWIAT” W DNIU 10. 10. BR.

I oto przekonał się, że kibic sportowy nie zawsze ma rację. Z olbrzymiej sterty poczytów i listów z odpowiedziami na 10 pytań: jaka to dyscyplina — „wyłowiliśmy” zaledwie 14 kuponów z bezbłędnym rozwiązaniem.

Niech się nasi mili Czytelnicy nie czują tym dotknięci; na odwrót — niechaj powiedzą sobie: ano, musimy lepiej poznać taką czy inną dyscyplinę sportową, żeby móc niej mówić jak znawcy.

Pamiętacie rysunek nr 5? Jeden z Czytelników określił go jako „podnoszenie ciężarów”, gdy tymczasem jest to zdjęcie pływaka — no, powiedzmy różnica raczej znaczna. Albo rysunek 9 ma przedstawiać spadochroniarza, a „szó-

stka” to... strzelanie. Bramkarz ma wprowadzić dużo wspólnego ze strzelaniem, zwłaszcza kiedy mu ładują parę ładnych goli — ale nie o tym pewno myślał nasz kibic. A zatem porównajcie raz jeszcze i sprawdźcie dysunk.

Oto właściwe rozwiązanie: 1) tyczkarz, 2) miociarz, 3) skoczek w dal, 4) skoczek wwyż, 5) pływak, 6) piłkarz-bramkarz, 7) kolarz, 8) sztafeta, 9) motocyklista, 10) hokeista na trawie.

Tak, teraz zanim zawołamy: „sędzia kalosz” namyśliłmy się troszeczkę co?

(Opr.: J.B.)

Tak wygląda...



...najmniejszy helikopter świata, który mieści się po prostu na plecach pasażera. Pisaliśmy już o nim w „Nowym Świecie”. — Wprost nie do wiary, że „takie coś” może unosić człowieka w powietrzu. Technika idzie na przód milowymi krokami, i kto wie, czy za kilkadziesiąt lat na wczesny niedzielną na podobnych jedno- czy dwuosobowych takśówkach, o zwiśnięciu ku radości naszej — MPK, które wówczas nie będzie musiało uruchamiać dodatkowych autobusów...

Zdjęcie pochodzi z wystawy, która otwarta była niedawno w Etienne, we Francji.



(wg „Dikobraz“)
PRZYWÓDCY PAŃSTW ZACHODNIO-EUROPEJSKICH ZGODZILI SIĘ NA UTWORZENIE WEHRMACHTU
 Ojcowie chrzestni: — WYKAPANY TATA!

Skryty Wielkopolski

MAŁA RZECZ
 Taśma filmowa jest jak zebra-
 nie: ma swój początek i koniec.
 Ta genialna maksyma nie ma za
 miaru sugerować, że zebra-
 nia trwają półtora godziny. Bynaj-
 mniej. Wiemy, że niektóre koń-
 czą się o wiele wcześniej.

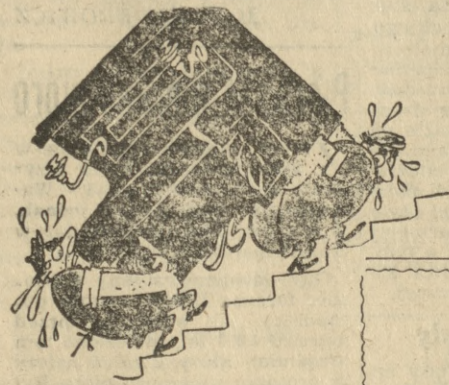
Natomiast film kończy się
 mniej więcej o tej samej porze.
 W trosce o żywego kina-widza
 czyni się ostatnio pewne stara-
 nia, aby te ostatnie minuty spek-
 taklu uczynić jak najbardziej ef-
 fekownymi.

W niebawym napięciu śle-
 dzisz oto szczytowe momenty ak-
 cji: 1. On i ona zbliżają się na
 odległość, która umożliwia doko-
 nanie funkcji całowania. 2. Zde-
 maskowany sabotażysta wyciąga
 z zanadru (zza pazuchy) rewol-
 wer obcego pochodzenia; 3. Kul-
 łak podpala krzesiwe światłocie-
 gromadzką, gdzie odbywa się ze-
 branie komitetu założycielskiego.

I właśnie wtedy zaczyna się
 generalne i wcale nie ciche od-
 suwanie kotar w wejście, otwiera-
 nie zamków kluczykiem i inne
 techniczne zabiegi, wywołujące
 przyjemną atmosferę finału. —
 Cześć widzów wstaje, przeskak-
 ując tym, którzy pragną wy-
 siedzieć do końca. W ten sposób
 osiąga się dwie rzeczy: a) za-
 oszczędza się widzom przykrości
 obejrzenia ostatnich scen; b)
 przedłuża się o dwie minuty czas
 przerwy między jednym a dru-
 gim seansem.

Mała rzecz, a duży zysk. —
 Zwłaszcza dla obsługi kina.

MIK



Anegdota

Odpowiedź Woltera

W czasie pobytu Woltera na
 dworze króla pruskiego Fryde-
 ryka Wielkiego, król zapropo-
 nował wielkiemu pisarzowi prze-
 jeżdżkę łodzią. Wolter za-
 ważył jednak, że łódź przecie-
 ka i szybko wyskoczył na
 brzeg.

— Tak się pan leka o swoje
 życie? — rozsmiał się król. —
 Ja się nie boję.

— Oczywiście — rzekł Wol-
 ter — królów na świecie jest
 kilku, ale Wolter — tylko je-
 den.

Propaganda

Pewna fabryka przetworów
 chemicznych zwróciła się swo-
 go czasu do Bernarda Shawa
 z prośbą o nazwanie nowej
 pasty do butów nazwą „Shaw-
 krem“.

— Czyż to nie będzie wspania-
 ła propaganda dla pana? —
 pisała firma. Przecież miliony
 osób, które będą sobie co ra-
 no czyścić obuwie, będą mu-
 siły myśleć o panu.

— A w jaki sposób potrafi-
 cie zamawiać mnie wśród
 milionów chłopców boso? —
 odpowiedział Shaw.

KONKURENCI

Historia bardzo amerykańska

Dyrektor teatru w Shirlington, Billy Black, uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniła karafka z wódką. „A to bydlę“, wykończył tego draba, jak zdychającego szczura. Od 30 lat wystawiam w moim teatrze najbardziej wstrząsające sztuki, raz do roku zdobyłem się na wprowadzenie do repertuaru jakiegoś przekłętą klasyka... 300 tysięcy mieszkańców naszego miasta chwaliło i chwali sobie mój „Billy Black's Palace“, a oto w naszym czołowym dzienniku shirlingtonskim czytamy, że jakiś Mike Miller zapowiada otwarcie nowego teatru. Ja tego draba zniszczę!“

I tak zaczęła się walka konkurencyjna między dyrektorami dwóch teatrów. W jednym z następnych numerów dziennika ukazało się takie oto ogłoszenie:

Uwaga mieszkańcy Shirlington!

W dniu 1 października spotykacie się wszyscy na Gala-Prapremierze w Billy Black's Palace, który wystawi

„WAMPA Z ORLEANU“

Dramat żelaznej dziewczyny mr. Fryderyka Schillera z wieloma cytatami i oryginalnym księżycowym baletem pt.

„DZIEWICE POD BRONIA“

Ale i Mike Miller w tym samym numerze dał półstronicowe ogłoszenie:

UWAGA!

1 października otwiera Mike Miller nowy, kapiący złotem teatr

„SALONY SZLARAFII“

z wielką super-premierą

„WESOŁE KUMOSZKI

W DOMU PUBLICZNYM

W WINDSORZE“

ze śpiewami i tańcami mr. Williama Shakespeare'a. Ceny o 50% niższe! Każdy widz otrzymuje gratisowo banana.

Wieczór premier skończył się dla Billy Black's'a tragicznie; w jego teatrze znalazło się zaledwie kilkanaście osób. W dodatku nazajutrz recenzent tak pisał o wieczorze w teatrze Mike Millera: kulturalne życie naszego miasta weszło teraz na nowe i lepsze tory, dzięki wspaniałej placówce Millera.

Black's'a trafił szlag, ale ruszył do boju. Ceny biletów obniżył do jednej trzeciej. Dziewica orleańska musiała w czasie przedstawienia boksować się z kangurem.

Miller podjął rzuconą rękawicę. Wesołe kumoszki staczały co wieczór bój z gorylami. Ceny biletów do „Salonów Szlarafii“ obniżono o 2/3.

W teatrze Black's'a ziewały na widowni garderobiane i strażacy pożarniczy.

W kilka dni potem znalazł Billy Black następujące pismo na swym biurku:

Trudności w prowadzeniu teatru usuwa radykalnie, szybko i pewnie nasza Agencja Artystyczna. Gwarantujemy za skutki.

Jonathan and Jonathan
 Michigan Avenue, Detroit.

Już następnego dnia w gabinecie Black's'a zasiadł mr. Jonny Jonathan.

— Jaki macie plan wykończenia tego łobuza Millera? — zaczął Billy.

— Bardzo prosty — odpowiedział Jonathan — skończcie na waszej scenie ze sztukami teatralnymi. Róbcie variété. Co mie-

Fraszki

F. B. I.

Szef dał podobno rozkaz nowy:
 „Jako że wschodnich jedną z zaraz
 wytepić zaraz
 mi paraliż!!!
 Azaliż
 bywa postępowy!“

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

Na pewnego „poetę“

— Me wiersze w głębię trafiają zagadnień —
 twierdził niezbicie z miną smakosza
 (Czyżby dlatego, że tkwiły na dnie
 redaktorskiego kosza?)

Na remont kina Apolo

Już od przeszło pół roku wle-
 cze się remont kina Apollo.
 Myślę, że rocek remontu
 Niedługo to — oczywiście
 Wszak piramidę Cheopsa
 Remontowano lat... trzysta...

K. DOBERSCHUTZ

Portierska „czułość“

Ten to portiera wzór
 ponad wzory
 od lat czułością
 zadziwia ludzi
 bo nigdy ważnej nie
 przespał nory
 i kończąc dyżur
 zawsze się... budzi!

JARD

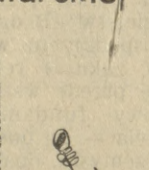
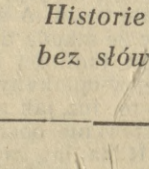


W pracowni malarskiej



— Myślę, że teraz nie będziesz już za-
 zdrosna...

Historie
 bez słów



siąc zmiana programu. Dla naszej agencji 30% od kasy dnia. To wszystko.

Billy Blacks wyzwał Jonathana od diabła, polipa, krwiożercy i rzeźmieszka. a następ-
 nie umieścił w gazecie nową zapowiedź:

UWAGA!

UWAGA!

UWAGA!

Po raz pierwszy w Stanach:

„DIANA, KRÓLOWA PIĘKNOŚCI“

Na każdym przedstawieniu gwarantowa-
 ny przelew krwi.

I teatr Millera opustoszał. Billy zacierał
 ręce. Niedługo jednak, albowiem po wizycie
 Jonathana u Millera, Billy Black przeczytał
 w gazecie, co następuje:

UWAGA! UWAGA! UWAGA! UWAGA!
 Sensacja amerykańskiego kontynentu!

„KSANTYPA

MORDERCZYNI MĘCZYŻN“

Kobieta z największymi piersiami!!
 Ostre strzelanie na każdym przedsta-
 wieniu!!!

A więc i tu robota Jonathana wydała
 właściwe owoce. Billy Black czuł się u kresu
 sił. Nabrał ich nieco, gdy Jonathan rzekł:
 — Nie ma co, jest was dwóch w naszym
 mieście. O jednego za dużo. W twoim te-
 atrze, Billy, musicie stoczyć na oczach wi-
 dzów walkę w basenie z wodą. Zwycięzca
 zostanie dyrektorem obu teatrów.

I znowu wydrukowano ogłoszenie:

TEGO JESZCZE NIE BYŁO!!!

PODWODNA WALKA DWÓCH DYREK- TORÓW TEATRÓW!!!

NA ŚMIERĆ I ŻYCIE W BASENIE!

...po dwunastu minutach walki obaj prze-
 ciwnicy legli martwi na dnie basenu. Sek-
 cja zwłok wykazała zgon przez uduszenie.

— Widzi pan, inaczej się niestety nie da-
 ło — powiedział Jonathan do swego pomoc-
 nika Abrahama Bullocka, gdy wracali au-
 tem z pogrzebów dwóch dyrektorów — ale
 za to jesteśmy teraz właścicielami dwóch
 teatrów...

Fatalny numer

Mam telefon.

Z telefonem zaczyna się za-
 zwyczaj parę minut po północy,
 najpóźniej o pół do drugiej.

— Czy tam Majchrzak?

— Nie, tu nie Majchrzak.

— No, to gdzie jest Majchrzak?

— Nie wiem, u mnie go nie
 ma.

— Panie, bez żartów, musi być
 Majchrzak, ma przecież nocny
 dyżur.

— No, dobrze — ale gdzie on
 pracuje?

— Jak to — gdzie? W Poznań-
 skich Zakładach Naprawy Sa-
 mochodów!

— Drogi panie — omyłka! Za-
 kłady mają 28-90.

W słuchawce słychać jakieś
 niewyraźne „a“, „o“, „och“ —
 następuje trzask i koniec nocnej
 rozmowy (bez słowa
 przeproszenia za zakłócenie spo-
 kojów).

Regularnie co 10 minut odzy-
 wa się mój telefon między go-
 dziną ósmą a dziesiątą.

— Już od trzech tygodni cze-
 kam na załatwienie sprawy Jan-
 kowiak Katarzyny.

— Ależ proszę pana...

— Niech się pan nie usprawie-
 dliwia. Obiecał pan sprawę za-
 łatwić? Obiecał pan!

— Omyłka, mój panie — omy-
 ka!...

— Acha, omyłka, omyłka! Te-
 raz, inspektorze usiłuje mi pan
 wmówić, że się mylę, ale ja się
 nie mylę!! Ja dobrze pamiętam
 naszą rozmowę sprzed trzech ty-
 godni!!!

— Nie jestem inspektorem,
 słowo daję... Tu 29-90.

— To po co pan się odzywa?
 Przecież dzwonię 29-70!

Trzask. Przeproszenia oczywi-
 ście nie ma. Do inspektora pra-
 cy nałczyłem jeszcze w tym sa-
 mym dniu 17 telefonów

Po południu bywa na ogół
 wesołe! Telefony zaczynają się
 około godziny 16 i trwają z ma-
 lymi przerwami do 24. Prym

Kaznodzieja sekty w Chica-
 go o nazwisku Stemradly, ob-
 darza swoich słuchaczy przed
 rozpoczęciem kazania pączusz-
 kami gumy do żucia. Jedno-
 cześnie przypomina, aby sie-
 dzący w ławkach nie przykle-
 jali resztek gumy do ścian.
 Ostatnio Stemradly zaostrzył
 swoje rygory, zwracając uwagę
 przysyłając nowożeńcom, że
 przestanie udzielać ślubu tym
 uszystkim, którzy żują gumę
 podczas ceremonii zawierania
 małżeństwa.

Ojcowie duńskiego miasta O-
 dense urządzili zmodernizować
 komunikację miejską, przez ro-
 zebanie torów tramwajowych
 i wprowadzenie ruchu auto-
 busowego. Już po zaasfaltowa-
 niu ulic odkryto, że kilkanaście
 wagonów tramwajowych przez
 zapomnienie pozostało na koń-
 cowych przystankach. Nie po-
 zostało więc nic innego, jak
 sprowadzić do miasta specjał-
 ne ciągniki.

Zamieszkali w pobliżu kate-
 dry amsterdamskiej, wysłali
 rezolucję, aby dzwony na wie-
 ży kościelnej nastrojono wresz-
 cie na inną melodię. W swym
 uzasadnieniu napisali, że jest
 już nie do zniesienia słuchać
 wiecznie jednej i tej samej
 pieśni pt. „Żyjemy wolni i
 szczęśliwi na ukochanej ziemi
 holenderskiej“.

Wnioskodawcy: lokatorzy
 centralnego więzienia w Am-
 sterdamie.



(Eulenspiegel).
 Zemsta



wiedzie cukiernia i bar „Bałty-
 ka“.

— Ja poproszę do telefonu pa-
 na Mietka, taki sztywny brun-
 et w samodzielnym. Siedzi przy
 stoliku pod oknem albo na
 pewno w barze.

— Ależ...

— Albo wie pan co — niech
 pan mu powie, że będę tam za
 15 minut, dobrze?

Trzask.

Okolo dwudziestej słuchawka
 gada bardzo męskim głosem.

— Panie, tam siedzi taki gru-
 by facet, taki lisy — wie pan —
 czeka na mnie od godziny —
 Chciał się nazywa Józef.

Niech mu pan powie, że nie
 przyjdę dziś, bo nie mogę.

— Omyłka — panie — omyłka.

Trzask.

Miedzy 22 a 24 jest jeszcze we-
 selej.

— Hallou... up... to chtëre
 macie otwarte, paje tegu — no?

— Pan się pomylił...

— Paje, co pan myśli, że ja
 jeźdem może pjanym? Nie, paje —
 to pan się pomylił. Ja tobsze wy-
 tlofonowałem numer 5-27-90.

— Dobrze, tylko opuścił pan
 tę piątkę na początku...

— No, to se pan ją — paje —
 dopisz do rachunku i beziemy
 kwita.

No i — trzask

Fatalny numer — myślę so-
 bie — naprawdę fatalny. Ale
 kiedy niedawno sam próbowa-
 łem zatelefonować do domu,
 zgłosiła mi się Centrala Ziela-
 ska. Potem Spółdzielnia Pracy
 „Pokój“ Potem...

Próbowałem zadzwonić do
 Miejskiej Rady Narodowej —
 zgłosił się Sąd Powiatowy; dzwo-
 nię do Związku Samorządu
 Chłopskiej — odpowiada Cen-
 trala Rybna; zamiast Komitetu
 Odbudowy Warszawy zgłosił się
 Działalnica Miejski...

No więc przestałem się dziwić.
 Jest więcej fatalnych w Pozna-
 niu.

ALFRED SIKORSKI

